ROK X. WARSZAWA, 15 LIPCA 1921 R. ZESZYT XIII.

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Polska łączność z Słowiańszczyzną.

Inter arma Musae wprawdzie nie milczą — o tem nas podczas wojny światowej przekonała istna powódź poezji wojennej najrozmaitszego rodzaju i rozmaitej wartości artystycznej — lecz jedno jest pewnem, że tych siedem lat wojny, a raczej to wszystko, co wojna do życia i do umysłów ludzkich wprowadza, ta atmosfera ciągłego podniecenia i niespokoju nie sprzyja rozwojowi kulturalnemu.

Mam na myśli przedewszystkiem działania w dziedzinie pracy cywilizacyjnej, która przejawia się na zewnątrz.

Przez nią bowiem rozszerzają się umysłowe skarby narodów, kulturalne wartości, zdobycze literatury, sztuki, wiedzy i wytwórczości społecznej. Przez nią wsiąkają z zewnątrz we własny, zawsze świeżego zapłodnienia żądny organizm zdrowe i odżywcze soki nowych ideji, wyrosłych gdzieś tam poza ramami domowego zakątka.

Praca kulturalna wewnątrz, w dziedzinie własnych narodowych konieczności, dawała znaki życia nawet podczas owych „siedmiu lat chudych" i wśród wojennych okropności potrafiła przemawiać głośno w obronie wewnętrznych wartości polskiej myśli twórczej. Obecnie nawet daje się zauważyć we wszystkich gałęziach starego, rozrośniętego drzewa kultury polskiej wybitny pęd do nowego życia. Nowe formy politycznego bytu niewątpliwie znajdą potężne odbicie w życiu umysłowem, w sztuce, w każdej wogóle formie kulturalnego działania, które otrzymało nowy i teraz dopiero właściwy grunt i widnokręgi. Nadchodzącą tę nową erę kultury polskiej zauważyć można na każdym kroku i przysłuchiwać się

dudnieniu zwycięskiego rydwanu nowej, radosnej młodości świata rodzącego się z gruzów i z klęski przeszłości.

Ale to właśnie, że świat powstaje z cmentarzyska i z pobojowisk — nowy i inny, że nietylko my sami, ale i wszystkie ludy naokoło ocknąwszy się z przygnębień, tragicznych przeżyć i nieporozumień spowodowanych kataklizmami wojennemi, budują nowy świat narodowej kultury — zmusić nas powinno do zastanowienia.

Owoce kultury każdego narodu, to tylko jednostka w ogólnej liczbie dorobku ludzkości. Z tego punktu widzenia, bardziej jeszcze niż dawniej, rozważać należy dzisiaj całokształt umysłowej pracy polskiej w chwili obecnej. Trzeba przyznać, że pod tym względem nie zdziałano u nas niczego. Co prawda, potrafiliśmy już zebrać wewnętrzne siły narodu i skoordynować je w kierunku systematycznej odbudowy kultury polskiej na nowych podstawach i w nowym stylu. Ale to nie dosyć. Należy utrzymać swoją kulturalną walutę na giełdzie światowej, należy z haussy i baissy obcych wartości wyciągnąć odpowiednie korzyści. Pod tym względem pozostaje u nas do zrobienia prawie wszystko.

Lata wojenne zdziałały swoje. Nici, łączące nas z kulturą narodów innych, siłą faktu zostały zerwane i stosunki polityczne dotychczas nie ułożyły się tak, ażeby sprzyjały ponownemu ich nawiązaniu. Przedewszystkiem chodzi mi o kulturalne stosunki Polski z zagranicą słowiańską.

Polska dawniejsza, przedwojenna, Polska spięta w obręcze trzech zaborów, mogła być do pewnej miary obojętną wobec ogólnych zagadnień Słowiańszczyzny, gdyż ze Słowiańszczyzną jako z całością miała niezałatwione dawne porachunki, oraz sytuacja polityczna zmuszała ją nieraz do sprzecznych rzeczywistym uczuciom działań lub pozornej obojętności. Dzisiaj sytuacja zasadniczo się zmieniła. Polska niepodległa nie może posuwać się dalej po tej samej płaszczyźnie bierności. Polska niepodległa została zanadto potężną jednostką w Słowiańszczyznie, ażeby móc pozostać w przyszłości na boku lub usuwać się niby zagniewany Achiles do namiotu fałszywej dumy, i liczyć nieprzebaczone winy lub niechęci poszczególnych słowiańskich braci-sąsiadów. Takie bowiem postępowanie przedewszystkiem na nas samych odbićby się musiało niekorzystnie.



Portret młodej kobiety. K. Krzyżanowski.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

Jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, że in politicis dużo jeszcze mamy spraw do wyjaśnienia w stosunku do innych narodów słowiańskich. Jednak, jak już zaznaczyłem, polityka niech idzie swoim torem, niech targuje się i walczy, gdzie konieczności państwowe tego bezwzględnie wymagają, a ludzie kultury muszą nareszcie poszukać drogi, na której możnaby się spotkać Polakowi z Czechem, Jugosłowianinem, Bułgarem, Rusinem czy też Rosjaninem. Życia kulturalnego nie można na długo zamykać w czterech ścianach własnego mieszkania, jeżeli nie ma ono zesztywnieć, wypłowieć i utknąć na pozojach sobie tylko wystarczających.

Polska obecnie tak całem swojem położeniem politycznem, geograficznem, jak i posłannictwem historycznem, oraz wysokim poziomem kulturalnego swego wyrobienia, przeznaczoną jest do tego, ażeby stanąć na czele kulturalnego życia Słowiańszczyzny. Jest więc naszym obowiązkiem, na tem stanowisku ją postawić, dopomóc, aby dziejowe swe zadanie mogła spełniać godnie i z korzyścią tak własną, jak i Słowiańszczyzny.

A jednak nie jest to rzeczą tak łatwą. W Polsce bowiem dzięki rozbiorom nie żyło się jednakiem życiem umysłowem i myśl o przodownictwie kulturalnem w Słowiańszczyźnie nie jest w kraju należycie przygotowana, jak żąda tego chwila dzisiejsza. Każda dzielnica polska naginała zapatrywania swoje oraz swoją gotowość współpracy według warunków politycznych. Następstwem takiego stanu rzeczy było, że znajomość kulturalnego życia Słowiańszczyzny, znajdującej się poza obrębem etnograficznej granicy polskiej, była bardzo mała. Tu lub ówdzie, stosownie do chwilowej sytuacji, przeważnie na tle osobistych stosunków, w poszczególnych dzielnicach Polski zjawiała się międzysłowiańska spójnia. Ale nawet tę małą cząstkę działalności lata wojny zniszczyły do tego stopnia, że jesteśmy dzisiaj nie tylko politycznie, ale przedewszystkiem kulturalnie od całej Słowiańszczyzny zupełnie odcięci? Tak jednak dłużej pozostać nie może, i stosunek Polski do krajów słowiańskich zasadniczej musi ulec zmianie, tem bardziej, że nie przedstawia to żadnych trudności i od nas całkowicie zależy.

Polityka może mieć jeszcze dużo do powiedzenia, może jeszcze długo mówić o niezadowoleniu i starać się o możliwie

najbardziej korzystne rozstrzygnięcie spornych kwestyj na tem lub owem pograniczu. Kultura jednak nie czeka. Wszyscy to czujemy jak koniecznem jest rozwalić tę naszą „splendid isolation“ i otworzyć granicę naroścież kulturalnej wzajemności ludów słowiańskich. Zaznaczam jeszcze raz — przedewszystkiem słowiańskich, — gdyż odbudowa narodowa i państwowa tak Polski, jak każdego poszczególnego kraju słowiańskiego musi być oparta o kulturalną łączność na tle słowiańskiej rasowości i w niej właśnie szukać myśli przewodniej przyszłego umysłowego rozwoju. Do tego jednak celu dążyć muszą ludy słowiańskie przez wzajemne poznanie się, wraz z niem bowiem przyjdzie i zbliżenie. O to zaś głównie chodzi.

W chwili obecnej nie jest to rzeczą łatwą. Utorowanie drogi do międzysłowiańskiej współpracy narazić może nieraz, przynajmniej z początku, na trudności najrozmaitsze. Tego jednak nie należy się lękać. I należy przystąpić do tej pracy z wiarą i z głębokiem przekonaniem o jej skuteczności, z trzeźwością sądów i bez słomianego ognia entuzjazmu. O pracę tu bowiem idzie i o trwałe jej wyniki, nie o bankietowy nastrój chwili, o fajerwerk frazesów lub komplimentów w tę lub ową stronę. Nie o tych lub owych „braci Słowian“—ale chodzi o Słowiańszczyznę jako całość. I przedewszystkiem chodzi o nas samych, jako tej całości integralną część, o zaznajomienie się z kulturami poszczególnych ludów słowiańskich oraz o propagandę naszego własnego dorobku kulturalnego pośród tych, którzy nam są najbliżsi. Jednem słowem: o słowiańską wspólność kulturalną.

Taka praca, o ile ma być skuteczna, nie może być robiona dorywczo, powinna być przeprowadzaną systematycznie, z użyciem całego aparatu skutecznej i rzeczowej propagandy we wszystkich kierunkach, w których przejawia się kultura narodu. Aby pracować możliwie skutecznie, trzebaby się oprzeć o jakąś instytucję, którąby już sama w sobie była pewną poręką korzystnych wyników. W swoim czasie wydawało się, że co do organizacji takiej pracy będzie tu dużo mogło zdziałać Biuro propagandy zagranicznej: to jednak zawiodło. Dla czego, nie chcę roztrząsać. Błąd był, zdaje się, zasadniczy i w samej organizacji i programie pracy. Narazie więc trzeba zwrócić się gdzieindziej; wobec niemożliwości,

może chwilowej, oparcia się o instytucję urzędową, oficjalną, należy stworzyć pewnego rodzaju samopomoc. I taką instytucją prywatnej samopomocy, o bardzo szerokich możliwościach działania, byłoby stworzenie „T o w a r z y s t w a S ł o w i a ń s k i e g o", organizacji założonej na wielką skalę i mającej za cel ująć w zupełności propagandę kulturalnego zbliżenia się narodów słowiańskich, z Polską na czele. Byłoby to zresztą tylko spełnienie jednego z zadań, które odrodzona Polska powinna podjąć już z tytułu swego przodownictwa jako największy i kulturalnie jeden z najbardziej wyrobionych narodów słowiańskich. O tem zaś, jakie cele winny przyświecać takiemu „Towarzystwu Słowiańskiemu" oraz o kilku dyrektywach co do ewentualnej organizacji pomówię kiedyindziej.

AD. B. DOSTAL.



Oczy...

Od magnetycznych oczu smuga fali
Bije promieniem o połysku stali —
Prąd fluidyczny w mistycznej godzinie
Jak zimny potok do żył moich płynie.

Krew w żyłach ścięta, jak krą—rwąca rzeka,
O skronie bije i z skroni ucieka...
Rozkoszna bladość opromienia głowę...
Gdy — nagle, fale uderzają nowe

I chłodne skronie płoną, jak purpura,
A władnej burzy piorunowa chmura
Smaga miljonem elektrycznych węży!
Ciało się kurczy, zwija, drży i pręży...

Drętwieją członki — a wzrok mózg przewierca,
Z mózgu — nerwami płynie w otchłań serca...
Od serca — żmija prądu — aż po krzyże
Pełznie i żądłem jadowitem liże...

Oczy, morderczym elektro-urokiem
Spojrzenia, duszę spowiły obłokiem...
Piętno niewoli beznadziejnej męczy,
Wola drętwieje w stalowej obręczy.

To znowu chłodne przejmują mnie dreszcze —
Spojrzeniem oczu niewolny się pieszczę...
Nieubłagana i łamiąca siła
Wszystko, co żyło i było — zabiła.

I w inny jakiś idę świat i — muszę,
Bo oczy dziwne rozdwoiły duszę:
Jedna — w letargu, uśpiona bez woli,
Druga — w obłocznej płonie aureoli...

Z elektrofalą fluidyczną leci —
A wrok uroczny gwiaździcami świeci
I jakieś usta szepcą tajne dźwięki:
„Musisz tak, musisz, aż do końca męki!...”

I gdy się dusza jak mimoza lęka —
W czarowną rozkosz zamienia się męka.
We mgle już giną udręczeń ogrody.
Fontanną bije nowy prąd i młody!

Wśród parków cudnych chylą się owoce,
Altana Życia stoi na opoce,
Dolina Szczęścia daje wywczas błogi,
Jak srebrne wstęgi rozchodzą się drogi.

Heljos świetlany leje potok złoty
Promieni Życia, Szczęścia i Pieszczoty...
Z poza czerwieni i ultra-fioli
Cudowne światło koi to — co boli.

Magiczne signum wszechmocnej formuły
Łączy atomy, spaja molekuły,
Szczęściem zapładnia rozjątrzone rany
I tworzy urok nowy i nieznany.

Łanem dusz złote kołyszą się pola
I mojej duszy znów powraca wola,
Gdy o poranku, biorąc szatę nową,
Z niewolnej — wolną stała się królową.

I nie zniewolą jej uroczne oczy,
Wskazując padół, co we krwi się broczy
I legjon duszyc w letargu uśpiony,
Wyrwanych z życia słonecznej korony.

I moja dusza, ta — jasna jak złoto,
Do tej w letargu spłonęła tęsknotą,
Do rozdwojonej z nią, tej co jest szarą,
Żeby znów jedną stała się z nią parą.

Żeby to jedno: Życie i Śmierć, było
Hypnozującą się wzajemnie siłą
A Ból i Szczęście w jednem kwitły polu,
Bo szczęścia niema, tam — gdzie niema Bolu.

WALENTY ZIELIŃSKI.

4) # Pokrakowska pomsta.

(Dalszy ciąg).

Należy teraz zastanowić się conieco nad tą wyższą kulturą krakowską, łokalną kulturą krakowską. Każdy wyższy poziom życia intelektualnego i artystycznego w jakiemś mieście związany jest organicznie z predyspozycjami duchowemi rdzennej ludności; tak we Florencji, Monachium, Atenach, Paryżu, ba nawet w Moskwie. Autochtoni, rodzą się już z szlachetniejszemi potrzebami i porywami a na podłożu dobrobytu, w atmosferze wzmożonego życia i spotęgowanej energji twórczej rozkwita wiedza, sztuka, poezja. Otóż czy w rdzennych krakauerach, w mieszczaństwie, w patrycjacie, w ludności są jakieś wyższe predyspozycje duchowe, któreby usprawiedliwiały choć w części uroszczenia do epitetu polskich Aten i przywilej spoglądania z góry na Korynt warszawski i na Spartę czy Beocję poznańską? Odpowiedź na to brzmi krótko: żadnych. Wszystko co przez kilkoletni okres nadawało Krakowowi blask i splendor kulturalnego grodu było importem i działalnością napływowej imigracji. Okres się kończył, wszystko co zdolne pospiesznie wysiedlało się i emigrowało i rzecz znów charaktyrystyczna, że podczas kiedy np. Lwowiacy znalazłszy się w stolicy o mieście swojem rodzinnem w gromadzie mówią z rozczuleniem i tęsknotą, Krakowianie zawsze przypominają je sobie z niechęcia i utyskując co się wlezie. Żadnej bowiem atmosfery, sprzyjającej specjalnie wyższemu życiu duchowemu Kraków sam z siebie nigdy nie posiadał. To co uniwersytetowi dawało autorytet i powagę, żywotność czasem sławę, to szło z zewnątrz (Olszewski, Wicherkiewicz, Dunajewski, Morawski, Korytowski, Ulanowski, Krzymuski, Natanson, Rostafiński, Marchlewski, Creizenach, Zimmerman, Konopczyński, W. Lutosławski, Baudouin de Courtenay, Sternach, dawniej Baraniecki, Szujski, Lewicki, Zakrzewski, Wróblewski). To co szło w profesorski senat z rodzin rdzennie krakowskich, to przeważnie nie przekraczało poziomu miernot lub z wiedzą serjo wprost nie miało nic wspólnego (Straszewski, Zoll, Fierich, Kasparek, Mycielski, Estreicher, Unsinn, Roztworowski); mężowie o wielkiej fundamentalnej wiedzy nie znajdywali tutaj przy panującym bezwzględnie systemie protek-



Domek z kart. T. Pruszkowski.

Tow. Zach. Szt. Piękn.

cyjnym gościnnego przyjęcia (Hilarowicz, Gumplowicz, Brückner). To samo w drugiem ognisku kulturalnem w Szkole Sztuk Pięknych. Dwa lumina de coelo Matejko i Wyspiański rozkochani byli w przeszłości, w starej Polsce, w starym Krakowie, ale jeden i drugi na Kraków im spółczesny rzucali gromy, Matejko odsyłając Radzie Miejskiej dyplom na obywatela honorowego, Wyspiański w korespondencji listownej wyszydzając „Linz" bezlitośnie. Tak Szkołę Sztuk Pięknych jak i Towarzystwo „Sztukę" zorganizowali nie tutejsi: Stanisławski, Wyczółkowski, Litwin Ruszczyc, Ormianin Aksentowicz, górale: Fałat i Laszczka; inne tęgie firmy malarskie tak w „Sztuce" jak i poza jej koliskiem pochodzą przeważnie z Galicji Wschodniej, Endeckiej: Alchimowicz, Makarewicz, Sichulski, Jarocki, Pautsch; rdzenni krakowscy bezsprzecznie mistrze fachu swego: Mehoffer, Weiss, Hoffman, rzeźbiarz Puszet są prywatnie najdoskonalszymi Polakami, ale w sztuce swej przyznać to trzeba kosmopolityczni w każdym calu; witraże Mehoffera a zwierzątka Puszeta mogłby równie przepięknie podsygnowywać Szwed, Anglik, Bawar, Włoch.

A w literaturze? To co Krakowowi dawało blask kulturalny wszystko było importem. Ongiś Anczyc-Anschütz, syn aktora niemieckiego, Koźmian z rodziny Wielkopolskiej, Asnyk, z Kalisza, Sewer-Maciejowski z Królestwa, Sarnecki z Ukrainy, poczem w epoce „Życia" Przybyszewski Wielkopolanin, Zapolska-Piotrowska z Ukrainy i cały szereg innych przeważnie osiadłych tymczasowo w Krakowie jako w politycznem Asylum, gdzie najwięcej gromadzi się przybyszów z całej Polski. Czy w mieszczaństwie, w patrycjacie krakowskim wzbudziły się w epoce „Życia", „Sztuki", „Przybyszewczyzny", „Zielonego Balonika" jakieś ambicje Medycyjskie? Czy powstały tu jakieś salony - przytułki cyganerji? Czy mieszczaństwo skupowało masowo obrazy i rzeźby? Czy więcej „Kossaków", „Malczewskich" ma Łódź czy Kraków? Czy Kraków wydał z łona swego coś w stylu Riabuszyńskiego lub Tretiakowa z paryskiego Chaucharda lub monachijskiego grafa Schacka? Czy Kraków odnosił się do swojej „Sztuki" lub sztuki stosowanej z taką ofiarnością i pieczołowitością z jaką chociażby Wiedeń do „Wiener Werkstätte? Czy prezydentowie Krakowa kolejno idący Friedlein, Leo, Federowicz mieli w sobie cośkolwiek z patronujących sztuce burgemajstrów flamandzkich,

włoskich, niemieckich? Czy w charakterze rdzennej ludności leży jakieś specjalne, lokalne umiłowanie dobrej nowej architektury, poważnej muzyki, wytworniejszej literatury i teatru, jakieś potrzeby czystego estetycznego mieszkania, jakaś pieczołowitość dla zabytków i pietyzm dla starych kamieni?

Na wszystkie te pytania, odpowiedź jest jedna: nic i nic z tego. Za prezydentury Lea zwalono starą basztę i stare mury, gdzie mieszkał T. Kościuszko, bo tam musiał wystawić sobie wiedeński Zinshaus budowniczy miejski Wandalin Beringer. Było to bardzo wandalskie ale źle świadczy o pietyzmie Krakowian. Jeszcze przed tem zwalono kompleks starych czcigodnych murów poszpitalnych św. Ducha, aby właśnie tam, wbrew protestom i potępieniom Matejki, właśnie tam, a nie gdzieindziej wystawić Teatr, uświęcony już przez Wyspiańskiego ale wyznajmy szczerze wcale nie licujący z architekturą Krakowa i mocno tandetny. Za prezydentury prezesa N. K. N. Lea przekształcono fizjognomię Krakowa z arystokratycznie dystyngowanej w ołomuniecko-modern-nowoczesną wprowadzając w City w śródmieście architektoniczną secesyjność. Gdyby nie ciągłe protesty i veta rozmaitych korporacyj artystycznych, składających się przeważnie z przybyszów „nietutejszych“ lokalne „burzymurki” z ich wodzem Leem, pozującym na paryskiego Hausmanna na czele byliby w zapale „europeizowania" Krakowa, rozwalili wszystko co stare, doszczętnie zostawiając chyba tylko kościoły. Ludności miejskiej trzeba było latami całemi kłaść łopatami w głowy to przeświadczenie, że przypadkowo mieszkając wśród ,,klejnotów“ starego budownictwa winna być sama z siebie stróżem i opiekunem tych klejnotów. Przykładów bezprzykładnego wandalizmu wyliczyćby można całe szeregi. Jeżeli brano się do restaurowania starych budynków to restaurowano tak jakby się powinno restaurować ale restauracje. Przykładem stary Teatr budowany na wzór florenckiego pałacu Pittich, do którego przez jakiś czas dodano okropne żelazne ganki i schody z zewnątrz, by potem odnowić go w sposób efektowny ale ze szkaradzieństwami na zewnątrz i na wewnątrz, od których oko boli każdego Europejczyka. A co zrobiono z Kościołem Franciszkańskim, gdzie obok Wyspiańskiego dano wolne pole jakiemuś pacykarzowi tak, że teraz publiczność zwiedzająca Kościół nie jest w możności nawet odróżniania malowideł i witraży jed-

nego od secesyjnych malirunków drugiego i wpatruje się kornie w sąsiadujące z arcydziełami bohomazy, przekonana, że to także są dzieła Wyspiańskiego. A restauracja św. Krzyża? Rozczulać się zaś tem, że Izbę Handlową komponował i dekorował Mehoffer a Izbę Towarzystwa Lekarskiego Wyspiański zbytnio też nie trzeba, skoro się zważy, że swego czasu instytucjom tym presją kół i korporacji artystycznych poprostu się tych dekoratorów narzuciło a następnie tem, że oferty obu mistrzów były ostatecznie najtańsze i najpraktyczniejsze i ten szczegół głównie decydował o ich akceptacji.

Medyceusza zaś czy Riabuszyńskiego jak Moskwa Kraków nawet w jakimś pomniejszonym formacie, nawet wśród swej najświetniejszej artystycznie epoki nie wydał. Taką rolę jaką Stanisławski - Aleksiejew odegrał w Moskwie, taką w Krakowie odegrał Pawlikowski, nie wywodzący się z kupiectwa krakowskiego, nie z Aleksiejewych tamtejszych, ale z wschodnio-galicyjskiej „endeckiej“ szlachty (z Medyki). Na palcach jednej ręki można wyliczyć te krakowskie rodziny, które kupowały dzieła „Sztuki“ a jeszcze dwa palce zostaną wolne. Obrazy różnych gwiazd nowej sztuki wiszą bardzo gęsto u krakowskich dentystów, lekarzy męskich przypadłości lub u kamieniczników posiadających atelier, poddasza i mansardy. Jeden plutocrache łódzki ma więcej arcydzieł „Sztuki“, niż wszyscy razem wzięci rajcowie miejscy i obywatele polskich Aten, niż wszyscy razem wzięci starozakonni nababowie krakowscy. Gdyby malarze i rzeźbiarze tam osiedleni byli skazani na konsumpcję krakowską, już ich samych dawno zagłodzonych skonsumowałyby robaki i glisty na Rakowicach. Dość powiedzieć, że dotychczas jeszcze oryginały J. Matejki Królów Polskich są nadal własnością spadkobierców Maurycego Perlesa w „Widniu“ i nikt się nie zatroska o ich nabycie dla którejś kolekcji ojczystej. Jedynymi Mecenasami Sztuki krakowskiej byli właściwie tylko Wielkopolanin, hr. Edward Raczyński, Korwin-Milewski Litwin i Stefan Habsburg. Wiedeńczyk, z zawodu arcyksiąże, admirał i kolekcjonista w nadziei, że za oszczędnie bardzo skupowane obrazy dostanie mu się z pomocą Jerzego Mycielskiego, korona Jagiellonów.

Salonów literackich w znaczeniu warszawskiem lub choćby berlińskiem, Kraków nie widział. Artystę czy literata zawsze tu traktowano jako coś zwyrodniałego co nie skończyło „praw“

i nie poszło ani do starostwa, ani do sądu, ani do banku. Za Żywioł niepewny jakiś międzyzaborowy, objawiający niezdrowe inklinacje do Warszawy i zatrącający w rozmowach ciągle Polską, a wyrażający się z lekceważeniem o „Widniu". Na Szlaku u Tarnowskich, literatury ni malarzy nie przyjmowano z obawy, że dostrzegą bolesną tandetę w umeblowaniu i fałszowane machonie z Widnia. A szlakami Szlaku szły szlacheckie rodziny osiadłe w Krakowie i tamtejsze „towarzystwo" mieszkające zresztą bardzo skromnie, jadające i odziewające się nawet z pewnem zaparciem się siebie, ale bardzo ekskluzywnie harde, zamknięte w sobie, słowem arystokracja z nowel Barbey d'Aurevilla kropiona gęsto święconą wodą, ale rzadko paryskiemi perfumami. Nie było więc w Krakowie ani miejsca, ani atmosfery dla jakiejś pani Recamier, czy księżnej Matyldy z czasów Empiru, czy pani Mac-Mahon, czy księżnej d'Uzes, czy hrabiny de Noailles. Jedyny salon i przytułek i strawę i gościnność starodawną znajdywała literatura tylko i wyłącznie u ś. p. Elizy Pareńskiej, znowuż nie tutejszej i w dodatku protestantki, której zresztą mocno miała za złe filisterja małomiejska, że „spija u siebie" Przybyszewskiego, do białego ranka odprawiając czarne msze przy zielonym stoliku (po cencie od sztona).

Jeżeli jeszcze przypomnimy sobie inne lumina, które blasku nadawały Krakowowi i sławę mu wyrobiły kulturalnej wyższości, to okaże się zawsze, że to import. Kotarbiński, który podnosił teatr repertuarem klasycznym i literackim, to królewiak, Sosnowski-Solski, który postawił teatr na najwyższym rozkwicie i dał całego Wyspiańskiego, królewiak, ś. p. Władysław Żeleński królewiak jak jego syn, nasz Boy najmilejszy także królewiak, Jasiński Mangha maxima, który swoim sękatym trójzębem raz po raz wstrząsał zasypiającą sadzawkę Siloah, także królewiak. Przeglądając listy ofiarodawców Bibljoteki Jagiellońskiej, bibljoteki i zbiorów Akademji Umiejętności, Muzeum Narodowego, Zbiorów Towarzystwa Sztuk pięknych, natrafia się ustawicznie w 90 procent na nazwiska i dotarjuszów z Królestwa, z Księstwa nawet z Petersburga, Charkowa, Kijowa, Rosji; z Galicji całej liczyć można 10% ofiarodawców, z Krakowa samego 0.05%. Kraków krakauerski, Kraków integralny, solidny, „tutejszy" dawał sporo pieniędzy na Świętopietrze, na misje Salezjańskie, na wybawienie Mu-

rzynów, na wojenną pożyczkę austrjacką, na dar i festyny jubileuszowe Franc-Józefa-Hunyady Lajosa, wydawał sporo na Abbazię, Semering, Marienbad, Piszczany, Karlsbad, ale na cele publiczne się nie rujnował, wolał dla swoich Muzeów brać, ale nie dawać, przyjmował nawet z pocałowaniem ręki dar Polaków, którzy byli senatorami petersburskimi i kawalerami orderów Anny i Katarzyny... (rubel non olet), od szulerów którzy majątki wygrali w karty (Akademja Umiejętności) ale sam się nie „szarpał" i zawsze wszystko od wszystkich przyjmując sam muzealnie i bibljotecznie się zbogacił nigdy nigdzie nikomu nie dając. Cała Polska składała się przez wiek cały na klejnoty Krakowa, ale co Kraków dał lub daje całej Polsce? N.K.N., dyletatyzm, P.P.S., mentalita lodomerica, K. P.K. futurystów. To zamało... Nawet w ostatnich czasach pod względem tego „węża w kieszeni" Kraków nic się nie zmienił, Lwowska Rada Nadzorcza Spółek akcyjnych dla przemysłu naftowego sypie chojnie 4 miljony marek na cele narodowe, 750.000 na Wawel, pół miljona na wydanie przez Akadamię Hoene - Wrońskiego przez Miriama Przesmyckiego. W Krakowie moc gryndserstw, spółek, koncernów, banków, nowych i już miljonowych towarzystw akcyjnych, moc spółek z ograniczoną poręka i moralnością, moc ludzi, którzy w całej Polsce i na całej Polsce porobili fortuny, moc paskarzy, którzy wawelami (tak się nazywa taktownie i pietystycznie Transportowa Spółka) zwożą do kraju wiedeńską tandetę, moc nouvo-richów, pasko-piastów i intendanckich Geldhabów, jajo- i ropo-kradów, ale na cele ogólno-narodowe, na jakieś Muzeum warszawskie, czy choćby krakowskie ci realni, rutynowani gryndziarze i szyberzy, nie przeznaczą nigdy ni minimalnego odsetku; od tego są „królewiacy z domowem wykształceniem", zwarjowane endeki, „służalcy carscy", Beoci poznańscy. Polskie Ateny są od tego żeby brały, Polacy od tego żeby na Kraków dawali.

Zachodzi teraz pytanie czy aurea aetas Krakowa, bądź co bądź kilkunastoletnia epoka rozkwitu kulturalnego dzięki namułowi nietutejszemu wyżłobiła jakieś ślady, przeorała grunt zmieniła parafialność psychiki, oduczyła „pańskiego dziadostwa" i bezambitnego żebractwa, oswoiła zdolną sztukę i literaturę, przezwyciężyła organiczną gromadzką pogardę piękna, wypleniła wiarę w świętość i wszechwładzę biuro-

kradztwa, otworzyła nowe horyzonty i perspektywy i podważyła lokalną egoistyczną wielgomanję?

Nic z tego. Epoka „Sztuki i Życia" był to tylko przedwojenny epizod, kończący niewolę Polski, ale nie związany z Krakowem, możliwy tylko dzięki jego uprzywilejowanej swobodzie politycznej, dzięki urokowi jego starych murów i pamiątek i położeniu Krakowa geograficznego i komunikacyjno-kolejowego; najbliżej już Warszawy tego serca Polski, ale w każdym razie nie w sercu a tylko w wątrobie... Promieniowanie działalności grupy Mangha, Pawlikowski, Wyspiański, Solski, Przybyszewski, Stanisławski, Boy trwało lat kilkanaście, ale osłabione już przed wojną, podczas wojny ustało i skończyło się. Obecnie jest już „laurowo i sinko". Fuimus. Ateńczycy w Abderze byli. Byli i przeszli. Wszystko przepłynęło. „Nec locus ubi cultura fuerit". Przebłysnęło i zgasło. Pozostała na placu tylko czwarta obsada, drugi garnitur, nazwiska, które przed wojną siadywały w przedpokojach nauki, sztuki, kultury i literatury. Tam, gdzie żyli Przybysz i Wyspiander, tam teraz „działają" Hoesick i Haecker, Flach, Estreicher... Kraków wrócił do swej normalnej fazy swych „fałszywych fasji" (które kiedyś zwalczał jeszcze Baudouin de Courtenay). Kulturą krakauerską są: „Bocian" i „Djabeł" i „Nowości Ilustrowane" i „Illustrowany Kurjerek" pochłaniane przez 2 miljony czytelników. Kulturą krakauerską są nadal „szöngeisty" na koncertach dętej orkiestry w szklanem Akwarjum Drobnerjona i są bardzo nobliwe ale niedoczesane arystokratki na konferencjach salonowo-socjalistycznych Roztworowskiego, psującego swój wielki talent dewocjonalizmem; kulturą krakowską są blaszane śmietniki na plantach i dwa operetkowe przedsiębiorstwa ogrywające wypociny kompozytorskie wiedeńskich żydków notenquetscherów: „Der Gulaszbaron", „Die Grosse Berta" i t p. Nawet Kossak zresztą już Kossak drugiej sorty uciekł aż za ocean. Jeden jedyny Boy nad Boye boję się że sytuacji już nie uratuje.

Nie jest to już a city of splendor and delight jak się wydaje pułkownikowi Hutchisonowi z życzliwego Graphicu, a raczej city for snobs and tramps... Kraków jest na nowo Bałucki, bardzo Bałucki. Na uniwersytecie, podczas gdy Lwów gronostajami magnificencji zdobi szerokie bary rasowego Polaka, obywatela całej Polski, tytana pracy i wiedzy Jana Ka-



Polowanie na rogacza. — Wł. Skoczylas.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

sprowicza — Kraków na przekór całej Polsce dwukrotnie wkłada pierścień rektorski na chude paluszki zaciętego meteka i doszczętnie skompromitowanego germanofila Estreichera, roznerującego i rezonującego ariwisty o rozbudzonych niespodziewanie ambicyjkach ministerjalnych a „uczonego“ o którym ś. p. Bolesław Ulanowski mawiał z bezbrzeżnem lekceważeniem, niedopuszczając go póki żył nawet do docentury. W teatrze imienia Słowackiego i Fredry na fotelu Koźmiana, Pawlikowskiego, Kotarbińskiego, Solskiego, „tutejszy“ człowiek p. Trzciński, dobry muzykant i śpiewak kabaretowy, ale namiastek i intelekt obciążony admiracją Widnia i wiedeńskich „stars“. W tworczości dramatycznej z powrotem „królowanie przedmieścia“ i jego gustów. Krowoderskie zuchy fetorystycznie szkaradzą panią ortografję i pannę gramatykę, która nadal maluje i sama jest malowaną jako najwytworniejszy model urody życia... i szyku krakowskich bulwarów... Że zasię spiritus flach ubi vult, więc pod Wawelem rodzi się polska narodowa operetka, która motywy z Krowodrzy i z Dajwora zwalcowane i foxtrocinowe przenosi na scenę i wedle wiedeńskich „muster ohne Werth“ poraniając jakieś ohydne „Gwiazdy Kaukazu“ i „Czary mundura“ na eksport do endeckiej Warszawy, obrzydzi nam tu wnet i warszawskie „Nowości“, zakrakowiaczone takimi kataryniarzami... Nihil novi ex Cracovia, to trzeba już sobie powiedzieć. Miasto wraca do swojej dawnej senności, ospałości, jałowości prowincjonalnej, z powrotem czyta już tylko swojego starego Djabła, starego Bociana i stare Nowości Illustrowane (na wzór Interessantes Blatt) t. j. do kaszy intelektualnej, która dzielnie i zwycięsko dzięki swej wulgarności przeżyła wszystkie „Życia“ „Musaiony“, „Krytyki“, „Chochoły“, „Abdery“, „Wianki“ i tyle efemeryd innych. Królowanie przedmieścia na wszystkich polach we wszystkich warstwach...

...Po niedozmiatanych ulicach wałęsają się modnie strojne, krótko uspodniczone krakowianki w półjedwabnych i w pół łatanych pończoszkach. Na ławkach plant opasłe sjonistki z wyczupirzonemi bębnami... Inteligencja aryjska zahukana wystraszona, wychudła, wstydząca się żebrać, pokorna i biegająca od rana do nocy po „konsumach“... po funcik ryżu. Tu i owdzie przemyka się w pelerynie jakiś ostatni Mohikanin dawnych polskich Aten... zdziwaczały, osowiały, dożywa-

jący abnegacyjnie ostatnich lat... Na rogu przed parkanem przystanął jakowyś brat kapucyn i czyta afisze olbrzymie: „Kino Warszawa"; „Raj Kokot, Pouczające dla młodzieży"... Wiec w Sokole. Towarzyszka dr. Landau — Loria: „O polityce Endecji"... „O najnofszej sztóce, orendzie do rodakóf krakofskiego kułka petomanóf i guanologóf"... Spiritus flach ubi vult. ...Na ulicach ruch i życie, nowe życie, jak w Olmütz, jak w Linc... Małe łaziki roznoszą z krzykiem gazetki ulubione... „Goniec", „Kurjerek"... „Elegancki facet" z fajką „old England" (new Stradom) kupuje:... „Porządki warszawskie"... „Bałagan warszawski", „Warszawa kradnie Reytana Matejki"... „Intryga endecka przeciw Estreicherowi"... „Poznań niedopuszcza naszych uczonych na Katedry", „Piastowiec Widza Lasocki ambasadorem",... „Fabryka marek polskich na Stradomiu", „Haeckera odczyt o Norwidzie", „Hoesick o Haeckerze".

Oto wizerunek obecny intelektualnego Krakowa, miasta które obdarzyło Polskę wielu, wielu „Piemontczykami", ale i wielu, wielu „gaspada taszkientcy"... Wizerunek bez respektu i bez retuszu...

Kraków już zgasł, już się skończył, wyczerpał wyśpiewał, wystrzelał. Zawsze był malaryczny, teraz jest marazmatyczny. Żadne wstrzykiwania, żadne galwanizowania nie pomogą. Z polskiej Norymbergji przekształci się może w polski Düsseldorf, w każdym zaś razie jest to już polski Krähwinkel. Atenami atoli już nie będzie i Peryklesa stamtąd nie oczekujemy. Z tem się trzeba pogodzić moi najserdeczniejsi!

Teraz zaś, postawiwszy djagnozę i stwierdziwszy gdzie w organizmie Polski miejsce ropiejące, przejdziemy do konkluzji, do wniosków pozytywnych i zaprojektujemy zabieg terapeutyczny.

d. n. *ADOLF NOWACZYŃSKI.*

Walka z wiatrakami.

III. Paradoksy syntetyczne. Zebraliśmy nieco spostrzeżeń; stanowią one jakby sieć prostych linij krzyżujących się ze sobą w pryzmacie logiki. Zanim przyjrzemy się obrazowi, który stąd powstaje, rzućmy nieco światła na nasz pryzmat.

Joubert twierdzi, że „lepiej jest jakąś sprawę poruszyć, nie rozstrzygnąwszy jej, niż ją rozstrzygnąć, nie poruszając“, a poeta Warnery woła „Lepiej pójść zwyciężonym, niż nie walczyć wcale!“, Oskar Wilde powiada, że „żałować doznanych doświadczeń—to tamować własny rozwój, to kłaść kłamstwo na usta własnego życia, to zapierać się swej duszy“, Carlyle lituje się nad tymi, którzy mają w sobie tylko to, co mogą wyrazić i ukazać, a Maeterlinck głosi, że „lepiej nieraz górnie kochać wielki fałsz, niżeli nikczemnie służyć wielkiej prawdzie“. A prawda, jak zauważa Dromard, jest „potroszę wszędzie—tak jak w całości niema jej nigdzie“.

I zdania tu przytoczone też są wszystkie niewątpliwie słuszne. A że co chwila natrafiamy na sprzeczność, — cóż stąd właściwie? „Toż najjaskrawszą bodaj kontradykcją jest— zdaniem cytowanego przed chwilą Dromarda, usiłowanie przedstawienia życia, wyłączając z niego sprzeczność, jakgdyby sprzeczność nie była właśnie główną jego sprężyną?

Kłamstwo jest złem koniecznem i stanowiącem niejako ośrodek życia. To jest kłamstwo w swem minimum, owo kłamstwo nieuchronne, rzecby można normalne. Ale stwierdziwszy to, zauważyliśmy, że kłamstwo rozwijając się już na gruncie wpływów indywidualnych jednostki zaporą w rozwoju ducha, przeszkadza nam realizować się. Aby tego kłamstwa pozbyć się i móc z niem skutecznie walczyć, trzeba nam poznać samych siebie. Zadanie to, jak wiemy, — niezmiernie trudne, praca życia całego, nigdy nie doprowadzona do końca i — jak zaznaczyliśmy na wstępie — w absolutnym sensie rzecz zgoła niemożliwa. Atoli niepewne nasze poszukiwania mogą stopniowo coraz większej nabierać pewności, kierowane czystem umiłowaniem prawdy — hartują się w żarze tego uczucia i względne — jak wszystko na tym świecie — nasze dane nie mniej stanowią cenną zdobycz i broń ze szlachetnego kruszcu. Droga rozwoju jest zawsze przed nami otwarta, nigdy nie jest zapóźno na to, by się kształcić

i stawać się lepszym. Nie można przewidzieć do jakiego minimum zredukują się nasze kłamstwa życiowe, lecz praca w tym kierunku — zapomocą poznania samego siebie — musi owoce wydawać, a może wydawać owoce jedynie dodatnie tak dla jednostki jak przez to samo dla ogółu ludzkości. Do zapewnienia sobie tych drobnych zwycięstw codziennych, z których powstaje wielkie zwycięstwo życiowe silnej i wyzwolonej indywidualności, trzeba nam sporządzać codziennie inwentarz naszego serca i umysłu, który przedstawi nam dysproporcję pomiędzy naszemi uczuciami i myślami a ich objawami, który nam bez obsłonek ukaże prawdziwe nasze oblicze wewnętrzne i do owocnej reformy stałego przyda pochopu.

Lecz ten, co do tej pracy nad samym sobą przystąpi, niech ze szlachetnej ambicji, która go skłoni do sporządzania bilansu własnych wartości, nie spodziewa się wygodnej beztroski i łatwego spokoju: te przystoją bardziej drobnym płaskim duszyczkom nie zdolnym do walki ani wahania, ani wszystkiego, co w boleści stwarza wspaniały majestat życia. Niech raczej czeka tej wielkiej pogody, co się po burzy rodzi, tej pogody „zemstw nieżądnej i krzywdom niepochwytnej“, tego ukojenia, kiedy „ból — niegdyś kat duszy — staje się jej rzeźbiarzem“.

Ale paradoks czyha na każdem skrzyżowaniu dróg, paradoks to śmieje się to płacze, co chwila odwracając znaleziony przez nas skarb,

Spójrzmy na tę odwrotną stronę medalu.

Jeżeli zmysł analityczny przekracza pewną granicę, — staje się siłą niszczycielską, Człowiek spogląda na samego siebie ustawicznie, jak na kogoś obcego, stąd płynie chłód i zagłada wszelkiej impulsywności. Chcieć wiedzieć zbyt wiele — to przedsiębrać lot Ikarowy, w którym żar od nazbyt bliskiego słońca topi nasze woskowe jeno skrzydła i strąca nas z powrotem na ziemię. Sceptycyzm zupełny nie jest potęgą twórczą, jest czynnikiem martwym. Świadomość posunięta zbyt daleko, odzierając nam drzewo życia z liści iluzji i kwiatów nadziei, odbiera mu moc rodzenia owoców prawdy. Widząc w każdej rzeczy przedewszystkiem cień, wyszukując stale mętnych źródeł, nie możemy już potem widzieć słońc i czerpać z przeczystych zdrojów. A słońce jednak świeci i źródła z tajemnych szczelin tryskają.

Nie dawajmy się tedy opanowywać zbytniemu krytycyzmowi, i nie zaniedbujmy z tego względu poczynań o rezultacie niepewnym. Miejmy pewien zasób tej beztroski włóczęgów, dla których świat cały—to wieczna przygoda. Miejmy śmiałość powiedzieć sobie: „Jeżli tylko włóczęga horyzont twój szerzy, błądź śmiało, dróg nie pytaj: żadna cię nie zmyli". niech nam się czasem zdarzają godziny, gdy przestajemy nacinać korę na drzewach naszej drogi źródlanej, aby móc rychło powracać do wiecznie tych samych „ciepłych schronych leśniczówek", godziny, gdy „wszczętą rzucamy pracę, by z kart uczonej księgi wycinać pajace—aby się niemi chore pobawiło dziecko".

Nie zapominajmy, że wieczna nagana nie jest drogą naprzód, że, jak powiedział Romain Rolland, negować jest nazbyt łatwo, dla tej poprostu przyczyny, iż łatwiej jest puścić kamień z góry na dół, aniżeli wyrzucić go z dołu do góry, i nie bądźmy jak owi krytycy, o których mówi Joubert, że „są podobni ludziom, co za każdym razem, gdy się śmieją, pokazują brzydkie zęby".

Życie bez złudzeń żadnych byłoby zbyt ciężkie. I czyliż tylko to, co wiadome, pewne, osiągalne i namacalne, czyliż tylko to nadaje wartość życiu? Nie, jest jeszcze jego wdzięk, jego poezja, jego piękność i tajemniczość, co także jest wartością; jest owo państwo „snów — prądów życia, źródeł przenajczystszych", dziedzina złud, co są „z prawd najświętsze", która nas „uczy mocy swym ogromem".

I tak, jak są fałsze prawdziwe, wady wdzięczne, błędy bohaterskie, tak samo żyją w nas tradycje drogie i złudzenia życiodajne, A posłuch dawać tym głosom — nie jest oznaką słabości. Ci mię zrozumieją z pewnością, którzy, dobrze wiedząc, że umarły nie żyje, niemniej na grobie drogiej osoby składają kwiat, którego zapach rozejdzie się po głuchej obojętnej bezmyślnej pustce. Są hołdy, które składamy zmarłym i są też hołdy oddawane umarłym wierzeniom. Bowiem umarli żyją w nas i umarłe wrażenia na dnie naszem serdecznem świętą swą urnę mają.

I nie o to chodzi, aby złudzenia niweczyć, lecz o to, by je natężać ku coraz wyższemu ideałowi. Wzrastać i widzieć, jak złuda nasza rośnie wraz z nami! Rozniecać wciąż światło w swym umyśle, a potem w najgłębszej ciszy serca powtórzyć sobie zdanie Schillera: „Miej odwagę błądzić i marzyć"!

Jakiż wniosek z tych dwóch danych ma wyprowadzić człowiek szczery, stając w obliczu życia? Nieśmiertelny przykład daje mu w tym względzie Sokrates, którego mądrość była życiem, a całe życie — mądrością. Trzeba umieć zdobyć się zarówno na jego uśmiech ironji, jak i na jego spojrzenie zachwytu, aby posiąść oną pogodę z wieczystej ponadziemskiej harmonji poczętą i triumfującą nad śmiercią. Trzeba, według wskazówki Dromarda, baczyć, by nie wpaść w żaden z dwóch rowów, biegnących wzdłuż drogi życia, t. j. aby umysł nasz nie był ani zbyt ciężki ani też nazbyt lekki!

Umysł ciężki — to dogmatyzm, uległość literze martwej, skrępowanie więzami przesądów, to zaślepienie, niesprawiedliwość, fanatyzm; to względem prawdy sługa niezgrabny uderzający swego pana, stając w jego obronie. Lecz ironja za daleko posunięta, to wszechwzgardliwość i niedbałość; umysł zbyt lekki — to względem prawdy sługa zbędny, obojętnie pozwalający ginąć swemu panu. Harmonijna miara streszcza się w paradoksie Dromarda: trzeba śmiać się ze wszystkiego, ale nie śmiejąc się. Trzeba mieć spojrzenie niezamącone, bystre, lecz z odrobiną mgły złudzenia. Trzeba nieraz zamykać oczy, aby widzieć lepiej, i umieć odważnie się oślepiać dla szczęścia żywota, twierdzi Joubert.

„Poznaj samego siebie“, uczy Sokrates, ale mówi także: „Wiem tylko jedno: że nie wiem; sofiści nie wiedzą nic, a myślą, że wiedzą wszystko“. Trzeba śmiać się ze wszystkiego. Tego zaś nie czyni filister. On zadowala się pozorami, wystarczają mu uznane przesądy i dekoracyjne gesty. Filister bierze to wszystko na serjo, przez co jest zacofany, niski, nietwórczy, martwy. A życie jednak płynie, wre, kipi, przewala się, kłębi, żyje! Trzeba żyć! Trzeba żyć jaknajpełniej i jaknajwszechstronniej. Przed kilku dniami jeden z mych przyjaciół, któremu wyjawiłem zamiar ogłoszenia niniejszego studjum, zawołał: „Co? Kłamstwa życia powszedniego? Dlaczegoż nie piszesz raczej o pięknie życia powszedniego?“!

Tak! O tem mówię przedewszystkiem. Tak, życie jest piękne, lecz piękność jego to wieczysta poezja przyszłości. A dziś zbyt wiele kłamstwa tę królewską szatę plugawi.

Przeciwko temu chciałem zaprotestować. Na te kłamstwa pragnąłem zwrócić uwagę. Nie odkrywam Ameryki, nie mówię nic osobliwego; pragnę tylko wzbudzić zaintereso-



Krajobraz tatrzański w zimie. St. Filipkiewicz.

wanie do zagadnienia, które każdy z nas w głębi swej istoty długo i szeroko snuć może. Tu dopiero może nastąpić „chwila osobliwa“, tu na bezbrzeżu duszy może się niejednemu ukazać majaczący w promieniach zorzy zarys nowego lądu...

Życie jest piękne. Piękne są jego prawdy i jego złudy, piękne wierzenia nowe i piękne legendy i wierzenia umarłe, Ale trzeba odróżniać plewę jałową od ziarna rodnego. Trzeba rozbudzać w sobie płomień szczerości, płomień, w którego żarze wszystkie zjawiska ulegną próbie, z której tylko szlachetne kruszce się ostaną. Trzeba w imię tej piękności życia powszedniego podjąć walkę z jego kłamstwami i z przesądami, które jeno ćmią światło.

A do tej walki potrzeba wiele odwagi i to nieraz nie tej zwykłej, ale owej szalonej, tej, która ożywiała święte w swej śmieszności serce nieśmiertelnego rycerza z Manczy, gdy, nastawiwszy włócznię, z pasją ciskał się na wiatraki.

MICHAŁ GABRYEL KARSKI.

PRZEŹROCZA.

ZLOT „SOKOŁÓW“.

W onym czasie naszej niewoli politycznej polski „Sokół” miał względnie najznośniejsze warunki rozwoju w Galicji, znacznie było ciężej pod pruską pikelhaubą. W b. Kongresówce budząca z popiołów miasta i narody instytucja „Sokoła“ była efemerydą. Generał-gubernator warszawski w przeczuciu snać zbliżającej się klęski carskiego czynownictwa widział w „Sokole“ żagiew, co więzienia pali, podziemną kuźnię, co tysiącem młotów w popiołach dziadów wykuwa bronie i samoloty na nowy wzlot w słońce—życie.

Idea „Sokoła“ jest słowiańsko-demokratyczna, jak były słobody - swobody słowiańskie, jak były starosłowiańskie igrzyska masowe, na które przed żniwami ściągała młódź obojga płci z najdalszych wierwi i opól, zwane „Stadlo“, iże się stadła — zespoły ideowe i hymenowe tam zawiązywały. Czesi pierwsi utworzyli tę szczytną organizację, dzięki której głównie skarlałe mieszczaństwo czeskie okrzepło w siłach fizycznych i zyskało pohop ku wzmożeniu woli swej i twórczości, ku zapaleniu pożarem ducha wsi czeskiej. Czechy narodowo zmartwychwstały za przewodem mieszczaństwa.

Idea „Sokoła“ i tem jest jeszcze słowiańska, że naczelna jej dewiza: „w zdrowem ciele i duch zdrowy“ zgodna jest z pogańską wiarą Słowian w nierozdzielność duszy i ciała, nieba i ziemi, człowieczego charakteru i czynów, wypływających z tego charakteru.

W dn. 9 i 10 b. m. Warszawa gościła w swoich murach i na swojem umajonem odświętnie forum polskich sokołów, którzy od proporczyków barwną i furkoczącą chmurą, ogarniającą w dni owe niemal cały nasz horyzont (kilkanaście tysięcy sokołów i sokolic) zlecieli ze wszystkich naszych dzielnic i ze wszystkich dalekich wysp naszych, leżących tam kędyś śród oceanów obcości.

Prócz sokołów z Krakowa, Lwowa, Stanisławowa, Poznania i wielu, wielu innych miast naszej świętej rzeczypospolitej widzieliśmy oddziały w sile kilkuset męża z Westfalji, witaliśmy Ślązaków, przybyłych z pola walk śląskich, i wielu braci z tamtego naszego Krakowa, Stanisławowa i z tamtej naszej Warszawy, co jest daleko za oceanem.

Nie widziałem w tłumach warszawian polskiej twarzy, której oczy nie zaszłyby łzami wzruszenia na widok najdzielniejszych i najbardziej polskich elementów naszego mieszczaństwa, zespolonego w dniu tym w jedną bryłę, dzielną, sprawną i rozradowaną tem zespoleniem.

Wierzę w to, że w najbliższych latach zloty sokolskie staną się u nas narodowemi uroczystościami, uroczystościami, poczynającego się naradzać mieszczaństwa, którego brak narazie jeszcze i którego brak takim ujemnym okazał się w skutkach w naszej przeszłości i które obecnie nie może się nie wytworzyć i nie spełnić swej dostojnej misji w rozwoju lackiej rzeszy.

Będzie to rodzaj prastarego naszego „Stadla", gdzie poczną się kojarzyć w coraz większe zespoły nasze dążenia ideowo-światopoglądowe, kulturalne, gospodarcze i stąd właśnie dopiero ewolucyjnie wstanie nowy o nowej wyrazistej fizjognomji, rodzaj poezji i sztuki naszej, którego tematem będą zdobycze cywilizacji, wielkie i tą wielkością najbardziej twórcze zbiorowiska ludzkie, to w rzeszy naszej miasto nasze, nowy rodzaj poezji i kunsztu, odgadywany dziś, oczekiwany i zwany—jasnogrodzkością. *r. kr.*

HUMANIZM W KOWLU.

Istnieje rozporządzenie dla wojskowych, a było ono przedmiotem interpelacji w Sejmie, podpisane przez jen. Pachuckiego, aby podwładne mu osoby towarzysko zbliżały się do żydów i żydówek wogóle ku zobopólnej zgodzie obu narodów i spełnieniu się raju na ziemi.

Dolara amerykańskiego temu, kto wykaże, jaki związek może mieć takie rozporządzenie z kompetencją wojskowego przełożonego. Czy oficerowie „po prikazu" mają tańczyć z żydówkami? Jaka budowa mózgu wyłania takie koncepcje?

Zapewnie, mogło było to stać się w Kowlu, gdzie „humanizm" płynie szerokiem korytem, a obdarta, zmaltretowana opinja publiczna drży z nędzy i ze strachu, gdzie posiada ona tragiczne oblicze owego bolszewika, który na zapytanie, kto jesteś? — odpowiedział: „były człowiek". Dalej już w nędznictwie iść nie można. Trzy długie, bardzo długie lata, tuż o miedzę, żydzi mordują Rosję jak nigdy i nigdzie nie zabijała żadna inkwizycja, żadne zaślepienie, zadna zemsta, z zastosowaniem najwyszukańszych tortur, przez te trzy długie lata słychać okropne krzyki mordowanych, a u nas rozkazuje się „tańcujcie Polacy z żydówkami". Od Zachodu, z Londynu, z Berlina, z Paryża słychać jeden wrzask żydowski: „zabić Polskę", a u nas się zaleca: „Polacy, tańcujcie z żydówkami". Więc czy mamy prawo mówić o kulturze? Milczenie.

Na tego rodzaju sponiewieranie godności i uczucia moralnego niemąsz kary w rozporządzeniu ludzkiem. To sprawa Boga. *Igr.*

MARGINESY FILOZOFICZNE.

VIII, Dola i niedola morału.

Osobliwsza to rzecz ten morał! Szuka harmonji — a wytwarza sprzeczności; udaje niezależnego od uczuć i woli—a bez nich nic zdziałać nie może; woła o haracz serc—a witają go uroczyste ględzenia, grzechot czerepów, gniewny rumieniec młodości i rozkoszne kpiny satyry; wspina się na tron po berło—i pada pod stopy trywialnej użyteczności. Taka to dziwna rzecz ten morał, znana od najzamierzchlejszej przeszłości, zawsze na podręczu u kapłana i pedagoga, lekarza i matrony, publicysty i kumoszki, zawsze gwoli użytkowi bliźnich, prawie nigdy — dla siebie. Patrzącem nań uważnie wciąż w oczach się dwoi Niby na kolor życia pomalowany—a suchy i pomarszczony jak mumja, niby poczciwy, zdrowy, zbawienny—a równocześnie—cierpki, duszący, jadowity, paskudny... Jakiż paradoks nie do rozwikłania! Więc może zawołać: precz z morałem, może: precz z moralnością. Wszak próbowano budować prawa ludzkiego postępowania na wspaniałej zasadzie „rozlewności życia" lub też na pysznej „woli mocy"—ale cóż—tyle tam trzeba było stworzyć uroków, głębin i uniesień, że pospolite dobro i pospolity nakaz stawały się stokroć prostsze i łatwiejsze. Boć i słuszna, że między świat żelaznej i ślepej konieczności, a ocean zachceń, urojeń i porywów wtłacza człek zrąb swej rozumnej i dobra chcącej woli, swój świat powinności. Wszak to świadectwo jego niestrudzonej pracy i potęgi, to słowo, co kierować ramieniem umie i osadzać instynkt na miejscu jak rozhukanego bachmata. Wszak cały trud człowieka rwie się ku Dobru i jego ziszczenia oczekuje i w imieniu jego woła: masz poznać Dobro i kochać je! Przeto nikt, kto kocha człowieczeństwo człowieka, moralności z życia nie wytrzebi. Ona to skrysztala żywioły we wspaniałe kolumnady i nad zygzakiem dziewiczej Natury kreśli łuki swych chramów. Niech kwitnie moralność i Dobro!... Ale tu nas opadają wątpliwości. Skoro człowiek jest zmiennym splotem przeróżnych sił i własności, skoro niemasz jedynej, bezwzględnej Prawdy, to i jedynego najwyższsgo Dobra też niemasz.

Wszystko się przesuwa, olbrzymieje, zanika, wykrzywia w miarę ruchu patrzącego—i szacującego. Skoro niemasz Dobra uniwersalnego, to gdzież tych dóbr poszczególnych szukać? Wrócić do lamusa znoszonych i wyświechtanych morałów? Tu rozpoczyna się twórcza praca, duch i stajemy wahając się z pytaniami: jak się zabrać do dzieła? Z lamusa rozlega się uroczyste wołanie, trajkot, stękania pogróżki. Trzeba poświęcać się, trzeba mówić prawdę, trzeba być czystym, pokornym, powściągliwym; bez tych cnót zbliżamy się do szatana lub bydlęcia.., Trzeba kierować się cnotą, obowiązkiem, przykazaniem... Stójcie, stójcie! Kiedyż to trzeba się poświęcać i dla kogo? Gdy się idzie za głosem powołania, albo się znajdzie śród łupieżców — iż by prędzej zjedli? Komuż to ma się mówić prawdę? Wrogom czy przyjaciołom? Dla kogo czystość będzie cnotą—dla egipskiej tancerki czy panienki z Sacré Coeur? Pokora? Dla Prometeusza, rewolucjonisty czy mnicha? Powściągliwość?... Dla zwycięzcy, wodza, weselnika, artysty?...

Niechże tedy ów czcigodny, uniwersalny, z nieba spadły morał da spokój uczuciom i pragnieniom. Niech zato coprędzej poczyna się tworzyć nowa sztuka moralności, pytająca zawsze i wszędzie: kto, kiedy i jak ma postąpić by osiągnąć swe Dobro, pytająca o mur moralny usposobienia: marzycielskiego, namiętnego, ofiarnego—zdobywczego—i—mało ich tam w olbrzymim Tumulcie świata.

Zapomnijmy o powszechnej, bezwzględnej, kategorycznej etyce—szukajmy gatunków, stylów i rodzajów Dobra. Zbliżajmy je do Piękna!

L. KONOPACKI.

Treść zeszytu XIII-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 320. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 500 Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk. 40, zagranicą i w Ameryce Mk. 60.—Cena oddzielnego zeszytu Mk. 60 Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 38.

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY „PLACÓWKA"

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telef. 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka": WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY OKSZA GRABOWSKI. GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, ul. Zgoda 5.